

ŻYWOT ZIEMSKI ARTYSTY.

PRZEŁOŻYŁ Z GÖTHEGO,

Ludwik Jenike.

Odsłona pierwsza.

(Przed wschodem słońca).

Artysta pracuje nad portretem tłustej, brzydkiej, zézo watój kobiety.
Po kilku dotknięciach pędzla ustaje.

Nie mogę! nie chcę! Ta larwa ohydna
I wykrzywiona nadto zbrzydła mi.

(Odstawia portret).

Jak cudny ranek!... Wszystko jeszcze spi
I moja troska także.— Żono biedna!
I drogie dziatki!...

(Przystępuje do okna).

Promienie jutrzeńki

Ożywcza, nową świat jasnością wieńczą,
I serce moje znów czuje młodzieńczo!

*(Stawia na sztalugach malowidło naturalnej wielkości, wyobrażające
Wenus Uranią) (*)*.

O bóstwo moje! Twe niebiańskie wdzięki
Zlewają na mnie sił nieziemskich zdroj.
W duchu i myśli jam ukochał cię,
Jak oblubieniec tulę ciało twe;
Gdzie pędzlem dotknę, ten obraz jest mój,
Tyś mną i więcej niż mną, jam twój!...
O pierwobytna królowo świata!
Mamże cię oddać za kruszec marny

(*) Wenus Urania, bogini czystej, niebiańskiej miłości.

Głupcowi, co go pstrocizny szata
Zajmuje, albo pomysł niezdamy?

(Zagłąda do komory).

Kochane dziatki! To ducha dzieło
Bogacza kędyś przestąpi próg,
By haracz chleba dla was tam wzięło;
Lecz on go posiąść nie będzie mógł,
Cieleśnie tylko będzie je miał. —
Ty mieszkasz we mnie, źródło przyrody!
Z tobą złączony, jam silny, młody,
Błogich upojeń nęci mnie szak.

(Słychać płaczące dziecko).

Artysta.

O Boże!...

Żona artysty *(budząc się).*

A, to już biały dzień!
Ty nie śpisz ojczu? Więc ognia skrzesz,
Weź garczek z wodą, wsyp kaszki węń
I zgotuj papkę.... Tylko się spiesz!

Artysta

(chwilę jeszcze zatrzymując się przed obrazem).

Ty moja!...

Najstarszy chłopiec

(wyskakuje z łóżka i przybiega boso).

Tatku, pomogę ci.

Artysta.

To drew do kuchni nazbieraj mi.

Odsłona druga.

Artysta.

Idź, zobacz kto tam tak stuka wciąż.

Syn.

To pani ta tłusta i jój mąż.

Artysta.

Więc udać muszę, żem zajęty pracą.

Żona.

A udaj, udaj, bo ci za to płacą.

Artysta.

Ot właśnie.

(Pan i pani wchodzą).

Pan.

W dobrą przybyliśmy chwilę.

Pani.

Mizernam dzisiaj, bośmy niewyspani.

Żona.

O, zawsze piękna jest łaskawa pani.

Pan.

Czy można spojrzeć na płótna te w tyle?

Artysta.

Pan się zakurzy. (*Do pani*). Prosimy siadać.

Pan (*patrząc na portret*).

Trzebaby więcej wdzięku jój nadać.

Nieźle to, ale przyznaj pan sam,

Że niedość jeszcze wyskakuje z ram.

Artysta (*na stronie*).

Bo téż potemu jój piękna twarz.

Pan

(*bierze obraz z głębi*).

Czy to swój własny portret pan masz?

Artysta.

Przed laty może podobny był.

Pan.

I dziś podobny.

Pani

(*rzucając przelotnym wzrokiem na portret*).

Aleś pan stył.

Pan.

I zmarszczek także przybyło ci, panie.

Żona

(*z koszykiem w ręku, potajemnie*).

Daj mi pieniędzy, pójdę po śniadanie.

Artysta.

Nie mam nic.

Żona.

Przecież nie jesteś sknerą.

Artysta.

Na!

Pan.

Szerszą teraz robisz manierą.

Artysta.

Więc jedno gorsze, a lepsze drugie.

Pan

(przystępując do sztalug).

Nos niepodobny, ręce zadługie,
Oczy niedosyć jeszcze ogniste.

Artysta *(do siebie).*

Biada mi! Toć to piekło jest czyste!

Muza

(niewidzialna dla innych, przystępuje do artysty).

Synu, zawczasie wiara twa ostyga;
Wszak każdy człowiek jarzmo swoje dźwiga.
Ta baba brzydka, ale płaci przecie,
A głupiec ten niech gani i niech plecie;
Ty ciesz się sobą i swojemi dzieły,
Co w chwili natchnień z pędzla ci trysnęły.
Dopóki mieszkasz pośród rajskich snów,
Ubogi będziesz, ale duchem zdrów.

APOTEOZA ARTYSTY.

Wspaniała galeryja, w której wiszą obrazy wszystkich szkół, w bogatych złotych ramach. Kilka osób przechadza się. Po jednej stronie siedzi uczeń kopiujący jakiś obraz.

Uczeń

(podnosząc się składa pędzel i paletę i staje za krzesłem).

Ot siedzę tutaj i po całych dniach
Pracuję, że mi mało łeb nie pęka,
I siłę i wyteżam się aż strach;
Doprawdy, z trudu już ustaje ręka.
Narysowałem obraz przez kwadraty
I barwy kładę, jak wskazuje wzór;
Poprawiam go i patrzę nań zakąty,
Stanąwszy tu za krzesłem jakby mur.
Lecz co pomoże stanie i patrzenie?
Dlatego światłem nie rozbłyśną cienie,
I choć się pocę, nigdy kopie te
Do wzoru swego nie przybliżą się.
Gdy tam swobodą kipi płótno całe,
Tu wszystko suche, sztywne, odrętwiałe;
Co siedzi, stoi, chodzi tam powabnie,
Tu wyprężone rusza się niezgrabnie;

Co tam w przejrzyste się rozplywa tony,
Wygląda tu jak garnek zakopcony,
I wszędy; wszędy czegoś dusza łaknie,
Choć dobrej woli pewno nie zabraknie.

Mistrz pierwszy

(przystępuje i kładzie mu rękę na ramieniu).

Wybornie! Dobrześ się spisał kochanie!
Pamiętasz widzę com ci zawsze prawił:
Że im artysta więcej się mozoli,
By dzieło godne sztuki swój wystawił,
Tém lepiej uda się po jego woli.
Więc pracuj tylko, a niezmordowanie,
I wiedz, że przez to sprawisz wiele,
Że wielkie tém osiągniesz cele,
A z czasem rozum przyjdzie sam,
Tę tylko dziś ci radę dam.

Uczeń.

Zbyt pobłażliwe to są rady,
Wytknijcie lepiej dzieła mego wady.

Mistrz.

Ja na to tylko z przyjemnością patrzę,
Coś ty, mój synu, dotąd w sztuce zdziałał.
Wiem żeś miłością zawsze ku niej pałał,
Że tej miłości życia znój nie zatrze;
Więc choć się jeszcze znajdzie jaki błąd,
To inną razą wydam o tém sąd.
(odchodzi).

Uczeń *(spoglądając na obraz)*

Niezmordowanie duch się w górę rwie,
Aż ujmie sztukę i w niej zawrze się.

Lubownik *(przystępuje).*

W niemałe wprawia mię to podziwienie,
Że pan marnujesz czas, jak inni czynią,
Gdy mógłbyś schwycić wprost natury technienie.
Toć ona mistrzów wielką jest mistrzynią,
Bo nam objawia duchów duchy,
I stronę rzeczy niecielesną,
I tajemnicę niedoczesną.
Więc chciałbym dodać ci otuchy,
Byś za innymi nie szedł ciągle w ślad,
Lecz w samoistnych natchnień wstąpił świat.
Natury ci potrzeba, panie,
Natury, takie moje zdanie.

Uczeń.

Gadali o tém ludzie mi niemało;
To żwawo téż się wziętem do roboty,
I nie zabrakło mi ochoty,
I to lub owo nieraz się udało;
Lecz częściej, gdym na wielkie porwał się,
Ze wstydem odprawiano mnie,
Tak iż nie śmiałem już próbować siły.
To czysto tylko zmarnowany czas,
Bo wzór natury jest zawyły,
A księga jój, to jak olbrzymi las.

Lubownik (*odwracając się*).

Uważam z tego do natury wstrętu,
Że biédak nie ma nic a nic talentu.

Uczeń (*siadając*).

Aż dotąd widzę żem nie zrobił nic;
Ta moja praca, to zaledwo szkic.

Mistrz drugi

(*przystępuje, spogląda na robotę i odwraca się nic nie rzekłszy*).

Uczeń.

O! nie odchodźcie tak milcząco, panie,
Powiedźcie jedno choć przelotne słowo!
Wiem że zdołacie mi poradzić zdrowo,
Więc chciałbym słyszeć szczere wasze zdanie.
Wszak jeśli dotąd umiem niezbyt wiele,
To dobrej woli niebrak w mojem dziele.

Mistrz.

To wszystko coś dotychczas w sztuce spłodził,
Napoły cześć i litość budzi we mnie.
Tyś się artystą niewątpliwie zrodził
I nie traciłeś czasu nadaremnie.
Poczuwasz w sobie twórczy dar
Wcielania w barwy cudnych tych postaci,
I przyrodzony ducha żar
Zapałem dzieła twe bogaci.—
Niezgorsze to, a z czasem będzie lepiej,
Lecz...

Uczeń.

Mów!

Mistrz.

To tylko ręka twa się krzepi
I oko, trzeba wprawiać i poznanie.
Zaledwo polot geniuszu śmiały
Instynktem czasem wielkich celów dopnie:

Lecz gdy się sztuki myślą nie owłada,
Zapagnąć trudno artystycznej chwały.
Tu nie pomoże nic macanie;
Kto coś dobrego zrobić chce pochopnie,
Niech przedmiot swój gruntownie naprzód zbada.

Uczeń.

I ręka się i oko na zaczęcie
Przy dobrych wzorach łatwo ukształtują;
Lecz mistrzu, zato się pojęcie
Z takimi tylko wprawia co pojmują.
Nieładnie to w zamknięciu żyć,
A powszechniejsze zaniedbywać cele:
Wy moglibyście z wielu zrobić wiele,
Dlaczegoż więc przed ludźmi tak się kryć?

Mistrz.

Dziś innych rzeczy pragnie świat,
Jak kształcić się na czyim wzorze:
Piosenki, którąbym zaśpiewać rad,
Niekażdy zechce słuchać może.

Uczeń.

O mówcie, czyliśm godzien jest nagany,
Żem sobie męża tego obrał wzorem?
(*wskazuje na obraz z którego robi kopię*).
Że jestem z nim jakoby w jedność zlany
I kroczę tylko jego torem?

Mistrz.

Nie ganię żeś po mistrza sięgnął wieniec,
Nie ganię tego, boś młodzieniec:
Młodzieniec winien śmiało w życie brnąć,
Miłością albo nienawiścią tchnąć.
Obrałeś sobie wzór wspaniały,
Więc długo możesz czerpać zeń naukę;
Lecz pomnij że i on niedoskonały:
Nie mistrza kochać trzeba, ale sztukę.

Uczeń.

Nie może myśl porzucić jego dzieła,
Tak żywo niém oddawna się zajęła.

Mistrz.

Wprzód, przyjacielu, popatrz co on zrobił,
A potem zbadaż to co zrobić chciał:
Tak tylko będziesz korzyść z niego miał
I poznasz drogę którą się sposobił.
Jak nikt nie posiadał sam nauki,
Tak sam też nie zdobędzie sztuki.

Uczeń.

To pogadajmy trochę dłużej o tém.

Mistrz.

Odkładam, synu, dalszy ciąg na potém.

Inspektor galeryi (*przystępuje*),

Błogosławiona chwila to,
Bo nam przybywa nowy wzór,
Wspaniały wyobraźni twór.

Mistrz.

Czyj?

Uczeń.

Mówcie, bo przeczuwam go.

(*wskazując na obraz który kopiuje*)

Zapewne tego.

Mistrz.

Tego właśnie.

Uczeń.

Współzawodnictwo przy nim gaśnie,
To marzeń mych ideał upragniony!

Inspektor.

Prześliczny obraz, panie, ale słony.

Handlarz obrazów (*wchodzi*).

Ot teraz ta galerya rzec może, (1)

Iż chociaż jeden dobry obraz ma.

Niech ujrzy świat jak na doborze

Dzieł sztuki książkę pan się zna.

Aż żal doprawdy z nią się rozstać,

Tak boska to i cudna postać!

(*unoszą obraz Wenus Uranii i stawiają go na sztalugach*).

Ja nad nią się unoszę sam;

Tu nie potrzeba sutych ram:

Spojrzyjcie, oto arcydzieło!

Mistrz pierwszy.

Jak wyrobiona technika!

Mistrz drugi.

Natchnienie obraz ten poczęło.

(1) „Nun kann die Galerie doch sagen”. Zachowałem tu umyślnie metonimią, a raczej personifikacją, jakiej Goethe użył w tém miejscu. (*Przyp. tłum.*).

Lubownik.

Mistrzostwo w każdym rysie drga.

Uczeń.

Mnie żądza trawi i pożera.

Handlarz.

To najwznioślejsza maniera.

Inspektor.

Złociste ramy niosą już;

(do posługacza)

Więc obraz w nie natychmiast włóż,

Bo książkę zaraz tu przybędzie.

(Służba umocowywa obraz w ramach i ustawia go napowrót).

Książkę

(wchodzi i przypatruje się obrazowi).

Ta praca staje w arcytworów rzędzie.

Ot summa jakiejś żądaliście za nią.

Kassyer

(stawia na stole wór z cekinami)

Cenicie ją nie nazbyt tanio.

(Książkę stoi przed obrazem, inni w pewnej odległości. Otwiera się strop sali i Muza zstępuje na chmurze, trzymając artystę za rękę).

Artysta.

Gdzie, przyjaciółko, wieszysz mnie?

Muza.

Tam spojrzysz, a pocieszysz się,

To widok co ci serce rozraduje.

Artysta.

Ja ciężkość tylko atmosfery czuję.

Muza.

Zstąp na dół i obejrzyj zbliżka

To dzieło, które w innych prac szeregu,

Śród tylu świetnych gwiazd przebiegu,

Jak gwiazda pierwszorzędna błyska.

Wszak ono twoje. To coś ducha lotem

W najczystszych chwilach przebiegł i wymarzył,

I coś pomyślał, coś rozważył,

Coś pilną ręką stworzył potem, —

To dziś zachwyca widzów rzesze

I służy mistrzom ku pociesze.

Ot mądry książkę, pełen uwielbienia,

Z nabytkiem swoim rozstać się nie może;

A ten młodzieniec wielbi cię w pokorze,

I oko jego zapał rozpromienia. —

Tak praca i natchnienie wieszczce
Działają i po wiekach jeszcze:
Bo czego człowiek pragnie skrycie,
Najdłuższe nie dokona życie;
Więc i po śmierci żyć mu dano.
Szlachetny czyn lub dzieło w każdej dobie,
W nagrodę pozyskują sobie
Nieśmiertelności piękne wiano.

Artysta.

Uznaję wszystko co wśród życia drogi
Zrobiły dla mnie hojną ręką bogi,
I co nanowo dały mi w tej chwili;
Lecz tylko duch zaszczytem się posili.
Jak młodzik rozkochany przecie
Nie może bogom podziękować za to,
Iż luba jego gdzieś na świecie
Zamknięta płacze nad kochanką stratą,
I w tym pociechy pewno znajdzie mało,
Że jedno słońce grzeje ich oboje:
Tak, gdy mnie zawsze dobre omijało,
A spotykały tylko znoje,
Więc cóż mi z tego, że dziś ma robota
Okupywana jest sowicie,
I że te ramy więcej mają złota,
Niż ja przez całe swoje życie?
Na ziemi żona, dzieci marły głód,
A teraz płacą za mój obraz wbród.
Jam towarzysza, coby mnie rozumiał,
Orędownika, coby wesprzeć umiał
Nie znalazł nigdy; żyłem jak przeklęty,
Bez naśladowców, bez zachęty.

(Wskazując na ucznia)

Jeżeli zatem tego tu młodzieńca
Nagrodzić chcesz, jak na to zasługuje,
To daj mu wszystko czego mu potrzeba,
Dopóki trawi i całuje;
Niech wie że znajdzie i kawałek chleba,
I sławy się doczeka wieńca.
Zaszczyty, które dziś mnie niepokoją,
Niech kiedyś skronie w wawrzyn mu ustroją.

